

JACEK WOJCIECHOWSKI

„Roczniki Biblioteczne”, R. LXIII, 2019,
red. naczelny: Maciej Matwijów,
Wrocław: Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego,
s. 309. ISSN 0080-3626



Wrocławskie „Roczniki Biblioteczne” to czasopismo naukowe o długiej i dobrej, a chwilami nawet świetnej tradycji, w polskiej praktyce ogólnobibliologicznej równie znaczące jak „Przegląd Biblioteczny”. Zatem, że jest kontynuowane, to wiadomość bardzo dobra. Lepsze byłoby tylko zapewnienie, że będzie kontynuowane. Bowiernie fundamentalnych przeszkód jest mnóstwo: nie tylko takich, którymi wszystko zainfekował koronawirus.

Ślawetna rujnacja naszych uczelni, nazwana **nauką 2.0**, okaleczyła także ośrodek wrocławski, który ten rocznik wydaje. Były już dewastator naczelny pozbawił to czasopismo punktacji, a więc i dofinansowania oraz zachęty do publikowania tamże. Bo jak nie ma grosza, to wszystko do kosza. Powołany rzekomo do waloryzacji takich periodyków podzespół (byłem w składzie) nie miał nic do powiedzenia: to była prostacka lipa. Propozycje trafiły do śmieci; wypunktowano i wylansowano to, co ktoś sobie w resorcie wyimaginował. Dlatego wprowadzenie do obiegu już po tym nowego numeru „Roczników Bibliotecznych” trzeba uznać za osiągnięcie.

Jakkolwiek szkoda, że nastąpił całkowity skręt ku księgoznawstwu. Z bibliotekoznawstwa, tym razem, niczego ciekawego tam nie ma, zatem to są – tak naprawdę – *Roczniki Księgoznawcze*.

Szkoda. W szerokim bowiem ujęciu wartościowych publikacji na temat bibliotekarstwa jest obecnie mniej niż mało albo jeszcze mniej. Z kolei jednak księgoznawstwo też ma bibliografię równie mizerną bądź jeszcze

mizerniejszą, więc taki periodyk – w sumie wartościowy – koniecznie powinien przetrwać. A stosownej pewności co do tego nie ma nikt.

Ogólna akceptacja kierunkowa nie oznacza jednak, że wszystko w szczegółach jest bez zarzutu. Ten egzemplarz „Roczników”, w ogóle interesujący, mógłby być znacznie lepszy przy ostrzejszych kryteriach doboru tekstów, uważniejszej korekcie oraz większej staranności redakcyjnej.

Nie powinno też być zgody na pisanie w trybie bezosobowym: *zaznaczono, podjęto*. Albo: *autor to, autor tamto*. Trzeba koniecznie przestrzegać ogólnych standardów pisarskich.

Za nieporozumienie trzeba uznać zamieszczenie publikacji białoruskiej autorki Larisy Dounar: w **języku rosyjskim**. Wprowadzie i na teksty po białorusku – oni zresztą tam na ogół po białorusku nie pisują – wtedy bowiem zapewne byłbym czytelnikiem jedynym, i po rosyjsku teraz tutaj odbiorców nie ma. Czasy, kiedy to był język u nas i nie tylko u nas nieco szerzej znany, minęły bezpowrotnie. Artykuł należało albo przetłumaczyć, albo sobie darować, bo tekst żadną rewelacją nie jest.

Zastanawiam się, czy kryteria publikowalności osiągnęły teksty **Marty Tomalskiej** oraz **Dawida Sulikowskiego**. Tak więc, chociaż nie chciałbym przesadzić, trochę niedostatków w tym numerze jest. Można było ich uniknąć i szkoda, że tak się nie stało. Ale do wyeksponowania są głównie plusy.

Oto więc znakomity tekst **dra Jacka Tomaszewskiego** z Polskiego Instytutu Studiów nad Sztuką Świata w Warszawie. Zawiera staranny i kompetentny, drobiazgowy opis całego procesu konkludowania; ostrożny kiedy trzeba, a jednoznaczny kiedy można. Napisany tak, jak za najlepszych czasów polskiego księgoznawstwa.

Jest to relacja z paleograficznej analizy dokumentów zachowanych w Katedrze Płockiej, mianowicie *Ewangelistarza* oraz *Zapisków o cudach*, pochodzących z okresu pomiędzy latami 1160 a 1180. Obydwa – jak drobiazgowo dowodzi autor – zostały zapisane przez tę samą osobę z klasztoru w Liege: już to św. Wawrzyńca bądź św. Jakuba. Z tym że *Ewangelistarz* powstał na pewno w opactwie św. Wojciecha w Płocku i stąd ta jego niebywała (dla nas) pradawność. Ze skryptorem współpracowali iluminatorzy.

To pochylenie się nad starymi dokumentami i tak staranne przenicowanie, obecnie imponuje szczególnie. No bo jest oto czas fascynacji elektroniką i zdyszanej pogoni za kolejnymi nowinkami, a tu autor proponuje dokładny i wnikliwy rzut oka na coś, co przetrwało 850 lat i nadal potrafi fascynować. Ma to szczególną wartość refleksyjną oraz przynosi intelektualne rozładowanie napięcia.

Jest też w tym roczniku inny, znakomity i pionierski materiał. Nie powiem, że tekst, bo to głównie rejestr: na 75 stronach spisano 369 bibliotek z całej Polski posiadających kolekcje starodruków. Spis ma układ alfabetyczny, według miejscowości, z adresami, z charakterystyką tych kolekcji – chociaż czasami pojawia się sygnał, że brakuje danych szczegółowych – i z obfitym naręczem starannych przypisów komentujących. Nastąpiło tu scalenie i dopełnienie oraz uporządkowanie informacji, dotychczas rozsianych po sieci, jak też w dokumentach drukowanych. Jest to więc przede wszystkim użytkowe powiadomienie: z wpisanym założeniem prospektywnej weryfikacji oraz dalszych uzupełnień.

Całość wymagała nie tylko zebrania doniesień, lecz także sprawdzenia, przepracowania i w końcu skonstruowania spójnego rejestru, nadającego się do wykorzystania. Została więc wykonana nieprawdopodobna robota, a efekt jest oryginalny i pionierski. Nareszcie wiadomo, co jest i gdzie czego szukać. W przygotowaniu spisu brali udział specjaliści z całej Polski, w ramach Proweniencyjnej Grupy Roboczej, a koordynacją prac zajmował się Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu, z którym związany jest autor tego opracowania, **Konrad K. Szymański**. W tym wypadku więc egzemplarz „Roczników” posłuży również za niezwykły materiał indeksacyjny.

Odtwarzanie wizerunku przeszłości to jest często misterna i uciążliwa dziubdzianina, wnikanie w detale bardzo drobne bądź w drobiazgi jeszcze drobniejsze. Bo to właśnie z nich tworzy się mniej lub bardziej wiarygodna panorama rzeczywistości minionej. **Jakub Łukaszewski** z Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu wziął pod mikroobserwację najstarszy zachowany ekslibris polski, przypisywany dotychczas Wojciechowi Strzałkowskiemu, i doszedł do wniosku, że w istocie należał on do Jana Żdżarowskiego. W takim konkretnym przypadku nie jest to różnica bagatelna.

Odbity pomiędzy 1517 a 1528 rokiem, z klocka drzeworytniczego, wykonanego zapewne w Krakowie, zawiera inicjały **IS** czyli Ioannes Szdzarowski. To był kanonik, kolejno poznański, wrocławski oraz krakowski (zmarł w 1551 roku), w swoim czasie zresztą oskarżany o współudział w zabójstwie ks. Jana Łukomskiego, lecz ostatecznie niewinny. Autor ma pewność co do przynależności znaku w jednej książce, a podejrzanie – w drugiej. No i ciekawy jest opis samego ustalania.

A oto inna historyczna ciekawostka. **Vlasta Okolícanyova** i **Gabrieľa Žibaritova** z Uniwersytetu w Bratysławie oraz **Katarina Deverova** z Uniwersytetu w Żilinie opisały – co **prof. dr hab. Anna Žbikowska-Migoń** przetłumaczyła – druczek okolicznościowy z 1571 roku, wydany w Krakowie z okazji zaręczyn Elżbiety Batory z Františkiem Nadaśdym.

Epitalamium napisał Benedykt Iloşvai, pierwszy rektor uniwersytetu w Aiud, więc nie byle kto. Bo to były ważne rody węgierskie, z równie ważnymi – jak widać – odniesieniami słowackimi oraz polskimi, trochę jakby przedsmak Unii Europejskiej. W tekście jest ciekawy opis samego druku oraz odnośnych postaci – znanych szerzej, ponieważ okropnych. On to oficer, słynny ze zwycięstw nad Turkami, lecz jeszcze bardziej z nieprawdopodobnych okrucieństw. Ale ona przelicycyowała go zdecydowanie. Bo to wszak (później) sławna *krwawa pani na Czachcicach* albo w innej wersji *krwawa hrabina*. Opisy jej sadystycznych zbrodni wypełniły treści niejednej sensacyjnej opowieści. Ten druczek niczego takiego jeszcze nie zapowiadał. Dopiero potem okazało się, że oboje młodych dobrze wyjątkowo *trafnie*.

Z kolei **Patryk Koblischke** z Biblioteki Politechniki Wrocławskiej podjął się drobiazgowej charakterystyki **faksymiliów** w publikacji książkowej. Bo nie jest to ani zjawisko, ani nawet pojęcie, rozumiane dostatecznie jednoznacznie, komentowane natomiast stosunkowo rzadko.

Generalnie są to reprodukcje, możliwie dokładne odtworzenia książkowych oryginałów. Najpierw były to swoiste przedruki, u nas rejestrowane od XIX wieku, potem fotograficzne kopie i w końcu skany. Jednak nie techniki odtworzenia, lecz dokładność odtwarzania występuje tu jako cecha najważniejsza. I z tego punktu widzenia autor sugeruje kategoryzację trójpoziomową.

Najmniej dokładną techniką jest reprint, wykorzystywany głównie przez wydawców, nierzadko w trybie komercyjnym, ponieważ zdarza się, że w skali rozległej, a nawet masowej. Natomiast faksymile, w wersji *sensu largo* i adresowane do pracowników książki oraz ogólniej nauki, a także do amatorów, stwarza wymagania dokładności wzmożonej. Żądanie zaś możliwie stuprocentowej precyzji w odtwarzaniu stawia się w ramach kategorii faksymile *sensu stricto*. Podejrzewam, że świadomość takich rozróżnień ma mało kto.

A po co to komu? Otóż reprodukcje takie wykorzystuje się na wystawach oraz w różnym użytkowaniu, także bibliotecznym, zamiast oryginałów, z różnymi wymaganiami precyzji odtworzenia, stąd taka a nie inna kategoryzacja. To znalazło swoje miejsce w czasopiśmie w całkiem interesującym oraz kompetentnym zreferowaniu autorskim. Choć muszę jednak powtórzyć: wypowiedanie się w trybie bezosobowym to referencjalna nieporadność, absolutnie nie do przyjęcia w poważnym okresie naukowym.

Mam jeszcze jedną pozytywną opinię do sformułowania – to nieco później, teraz natomiast pora na omówienie wspomnianych sygnałów niezadowolenia. Otóż białoruski tekst **Larysy Dounar** z mińskiego

Uniwersytetu Kultury i Sztuki oceniam źle nie tylko dlatego, że jest po rosyjsku, ale także dlatego, że w treści niczego zajmującego nie wnosi. Autorka ogólnikowo rekapitułuje to, co o księgoznawstwie na Białorusi już dotychczas napisano, próbuje zreferować dzieje tamtejszego księgoznawstwa. Ale dawniej to ono właściwie nie istniało, dlatego w relacji dominuje jubileusz 500-lecia **edytorstwa** na tamtejszych ziemiach.

Bardziej zresztą ten tekst deprymuje sugestią, jakoby księgoznawstwo stanowiło ważny obszar światowych dociekań naukowych, bo to jest zwracanie głowy. A kiedy w rejestrze przypisów (99 przywołań) widzę aż 28 własnych tekstów Autorki, to przyznam, że taka megalomania zniechęca jeszcze silniej.

Powtórzę też, że język także ma znaczenie. Z wielkim smutkiem stwierdzam, że na Białorusi naukowo pisuje się przeważnie po rosyjsku – od niedawna dopiero jest trochę więcej tekstów w języku białoruskim – i to wygląda na narodowy dramat. W każdym razie tego na pewno nie wolno naśladować. Nasze periodyki naukowe powinny być w całości po polsku, ewentualnie z obcojęzycznymi streszczeniami, natomiast niektóre, ale wtedy też w całości, po angielsku. Za nieporozumienie uważam też mieszanie językową – teksty w rozmaitych językach w jednym zbiorze lub w tym samym egzemplarzu czasopisma – w obszarze inb uprawianą nadmiernie i nie wiadomo po co.

Retrospektywna refleksja Larysy Dounar sięga najdalej do postaci Franciszka Skoriny (to taki tamtejszy przeszłościowy samograj) z XVI wieku, w kontekście uwagi, że Słowianie Wschodni traktowali piśmiennictwo jako syndrom wartości wyższych. To jest z kolei prorosyjska megalomania. No bo niby inni Słowianie (ci *gorsi*) to już nie? Późniejsze zaś, ewentualnie znaczące wypowiedzi okołoksięgoznawcze tamże kojarzy Autorka z uniwersytetem... w Wilnie oraz z Joachimem Lelewelem. W porządku, ale tytuł tekstu zaczyna się od: *Białoruska*.

W istocie na Białorusi zaczęto tę problematykę szerzej roztrząsać dopiero w latach 20. ubiegłego stulecia, zresztą głównie po rosyjsku. Żaden wstyd, a i dominacja księgoznawstwa rosyjskiego, okresami bardzo dobrego, też nie jest deprymująca, choć przydałaby się w relacji bliższa zgodność z rzeczywistością. Owszem, w 1926 roku ukazała się monografia Wacława Łastowskiego *Historia książki białoruskiej*, w języku białoruskim, ale wydana na emigracji. W Mińsku wznowiono ją dopiero w 2012 roku.

Larysa Dounar niekonsekwentnie przybliży księgoznawcze rozważania na Białorusi z lat 20. (roztrząsań było mniej niż mało, jeżeli były w ogóle) oraz późniejsze, z lat 50. W mińskim Instytucie Kultury rozprawy kandydackie (po naszymu: doktorskie) z tego zakresu zainaugurowano późno, bo w 1973 roku, i nadal po rosyjsku. Dopiero po 2005

roku zaczęło przybywać takich opracowań po białorusku. Pojawiły się ponadto m.in. dwie duże monografie o historii tamtejszych bibliotek oraz dwutomowe opracowanie *Historia książki białoruskiej* (inne niż to Łastowskiego). W 2006 roku powołano w Bibliotece Narodowej ośrodek, koordynujący historyczne (a bieżące?) prace z zakresu księgoznawstwa oraz bibliotekoznawstwa, ale nie wiadomo, na czym ta koordynacja polega ani jakie są jej rezultaty. Generalnie więc ta wypowiedź o niczym interesującym nie powiadamia.

We wprowadzeniu do innego tekstu wysiłek redakcji skupił się na wyjaśnieniu, że autorka **Marta Tomalska** jest z Wrocławia. I tyle. Wypada więc dopowiedzieć na wstępie przynajmniej, że jej pomysł (realizacja już nie) na wypowiedź ma ręce i nogi.

To jest bowiem próba sprawdzenia, w jakim stopniu użyteczne są w tekstach naukowych przypisowe odesłania do publikacji internetowych. I wprawdzie miniprzykład (raptem kilka numerów) niszowego ankażu „Roczniki Biblioteczne” to jedynie mikro sygnał, który samoistnie nie świadczy o niczym, ale mógłby być próbą inicjacyjną: załączkiem dociekań dalszych. Jednak nie jest, w następstwie kiepskiego wykonawstwa. Z mnóstwem stwierdzeń pozbawionych wiarygodności oraz/lub wykluczających się wzajemnie opinii.

No więc jest tam opinia, że internet to nośnik niestabilny i pozbawiony (!?!) przedsięwzięć archiwizacyjnych, szczególnie w Polsce. Ale zaraz potem następuje opis – inna rzecz, że nieporadny – tworzenia (więc jednak!!) sieciowych archiwów i to także u nas. Jest oto sygnał, że istnieje w Polsce Narodowe Archiwum Cyfrowe, jak również Polona w Bibliotece Narodowej, oraz dopisek, że na świecie funkcjonują rozmaite sieciowe przedsięwzięcia archiwizacyjne. Następnie wszelako znów widzę uwagę, że jednak ich nie ma. Wypadałoby zatem na coś się zdecydować. Przy czym, jeśli jednakowoż istnieją, to jaką mają trwałość i wartość wobec (zgadzam się) częstych zmian technologicznych?

W tekście pojawia się też supozycja, że internet to teraz najpopularniejsza forma dostarczania informacji. Bezdowodowa, ponieważ taki dowód nie istnieje. Obserwując internetową otoczkę wokół koronawirusa, znacznie łatwiej udowodnić, że to jest rozległa forma **dezinformacji**. Poza tym jest w tym dziwaczna pretensja, że nie istnieje projekt zabezpieczenia całej informacji w internecie. Otóż nie wiadomo, co to takiego ta *cała informacja*. Gdyby potraktować to sformułowanie dosłownie, to pomysł na stuprocentową rejestrację byłby największym koszmarem świata. Tak więc pisanie w ten sposób nie ma żadnego sensu.

Z analizy autorskiej wynika, że na 372 sugerowane w wybranych „Rocznikach Bibliotecznych” linki nieaktywnych było 137 – czyli 38%, co

zresztą można było przeliczyć, zapisać oraz skomentować. Ale z całego tego sondażu, zreferowanego wyjątkowo nieczytelnie, nic użytecznego nie wynika. Tym bardziej, że w rejestrze konkluzji pojawia się taki oto, wzajemnie sprzeczny, tandem opinii: *nie widać proporcjonalnego – do upływu czasu – wzrostu odwołań do publikacji elektronicznych. Rysuje się wyraźna tendencja wzrostowa*. No to jak – środa czy piątek?

Ogólny wniosek autorski jest taki, że najważniejszą cechą zasobów internetowych stanowi ich dostępność – więc jednak nie wiarygodność (skoro są informacyjne)? – zatem trzeba ją zapewnić. Wypadałoby ewentualnie zapytać, w jaki sposób, ale myślę, że nie warto. Bo to w sumie jest przecież odkrycie, że koło jest okrągłe.

Myśląc, że to jest w tym tomie artykuł najbardziej nieudany, popełniłem błąd. W głowie bowiem nie mieści się, że ktoś mógł zakwalifikować gdziekolwiek do druku tekst **Dawida Sulikowskiego** o bibliotekach publicznych w Chinach. A jednak. Oprócz katastrofalnej nieumiejętności pisania rzuca się w oczy w tej wypowiedzi kompletna niewiedza o bibliotekarstwie.

Autor wykorzystał kilka angielskich ulotek oraz był w Chinach. No i na co nie zerknąć, to bezsens. Dlatego, w podobnych okolicznościach, mimo pobytu w Szwajcarii powstrzymałem się od eksperckich wypowiedzi na temat sera szwajcarskiego.

W tekście napisano, że 3176 chińskich bibliotek publicznych obsługiwało 1,4 mld użytkowników, czyli na jedną bibliotekę wypadało 47 tys. czytelników. I ta oczywista niedorzeczność nikogo w redakcji nie zastanowiła? Dalej autor pisze z widoczną satysfakcją, że udostępnianie książek stanie się tam wkrótce znikomą częścią oferty bibliotecznej. A potem pojawia się jeszcze doniesienie, że tamtejsi bibliotekarze publiczni wyjeżdżają służbowo w teren, żeby uczyć pisania oraz czytania. To jest zakamuflowany sygnał, że w Chinach nie ma szkół...

W opisie chińskich bibliotek pojawiają się jakieś tajemnicze *działy* – nie wiadomo, co to jest – oraz podkreśla się prorodzinny charakter tych bibliotek, nie wiadomo jednak, co to znaczy i na czym polega. No i są jeszcze doniesienia na temat oferty tamtejszych bibliotek. Otóż serwuje się tam informacje o AIDS oraz o HIV. Konstruuje się tematyczne pawilony (rzeczywiście czy to metafora?), dotyczące... już to genealogii albo choreografii. A także odbywają się wykłady – z przykładowym tematem: *chodzenie po płaskowyzu (!?)*.

Poza głównym korpusem referencyjnym jest jeszcze w tym numerze „Roczników” 6 recenzji rozmaitych monografii oraz są 2 sprawozdania z konferencji naukowych. A ponadto jest tam bardzo ciekawa, polemiczna wypowiedź **Doroty Sidorcuk-Mulak** z Ossolineum, jako reakcja

na krytyczną recenzję Haliny Mieczkowskiej (w poprzednim numerze „Roczników Bibliotecznych”) z Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie, recenzję, która dotyczyła katalogu druków z XVI wieku w historycznej (a więc już nie dzisiejszej) kolekcji Ossolineum. Katalog opracowano niedawno we Wrocławiu, ale (co ważne) przy współpracy Lwowskiej Biblioteki Narodowej – zasoby są bowiem teraz tu i tam. Poza wszystkim było to więc doniosłe przełamanie obustronnych uprzedzeń.

Nie mam żadnych kompetencji, żeby oceniać, która z obu Pań ma rację. Natomiast uważam za bardzo ciekawe wszystkie wypowiedzi (tu głównie, ale nie wyłącznie, jednostronne), które w tej wymianie opinii padły. Ujawniają bowiem ogrom trudności oraz całą złożoność postępowania wobec zachowanych kolekcji i pojedynczych materiałów bibliotecznych z lat dawnych. O tym warto, albo wręcz należy, wiedzieć.

Przy okazji pojawiła się tam jeszcze *odskoczniowa* sugestia co do pojmowania w księgoznawstwie hasła **proweniencja**. Zdaniem Doroty Sidorcuk-Mulak oznacza ona każdy ślad użytkowania książki. Owszem, ale nie widzę w tym nic, co nie mieściłoby się w istniejącej już wcześniej obszernej charakterystyce, jaką w *Encyklopedii książki* (t. 2, s. 466–467; Wrocław: Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego 2017) zaproponowała Maria Cubrzyńska-Leonarczyk.

W konkluzji finalnej: najnowszy numer „Roczników Bibliotecznych”, w znacznej części bardzo interesujący, ujawnił jednak zbyt wielką amplitudę jakościową. To niedobrze. W procesach redagowania odrzucenie też bywa niekiedy zabiegiem koniecznym. Inaczej jakość całości szwankuje nadmiernie. Zwłaszcza w obecnych, niedobrych okolicznościach towarzyszących absolutnie należy unikać aż takich mielizn. Utrudniają one bowiem imperatyw podstawowy: przetrwać.

Tekst wpłynął do Redakcji 24 kwietnia 2020 roku.